Nr. 30. Rok IV.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE WYCHODZI TRZY RAZY Lwów. 1. Listopada 1881. NA MIESIĄC: 1, 10 i 20 każdego miesiąca

Prenumerata wynosi we Lwowie:		Na prowincji (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. — ct.	rocznie	10 zł. 20 ct.
półrocznie	4 „ 50 „	półrocznie	5 „ 10 „
kwartalnie	2 „ 25 „	kwartalnie	2 „ 55 „
miesięcznie	— „ 75 „	miesiecznie	„ 85 „

W Poznańskiem i Prusach 5 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 6 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi.

Numer pojedyńczy 30 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja Dziennika dla Wszystkich przy ulicy Zygmuntowskiej Nr. 7. c, gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełac należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji Dziennika dla Wszystkich we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Z zagranicy ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse, A. Oppelik Stubenbastei 2; Rottler et Comp. I Riemergasse 13; Daube et Comp. Maximilianstrasse 8; w Frankfurcie n. m., Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i w Szwajcarji: Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adama rue Clément 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.

Od Redakcji.

Ponieważ w interesie naszych prenumeratorów tak obecnych, jak i nowych, uważamy sobie za obowiązek przy zbliżającym się nowym roku, ukończyć drukującą się powieść p. t. „Sieroce dzieje,“ numer 30ty „Dziennika dla Wszystkich“, wyjąwszy jednej kulumny inseratowej, całkowicie zapełniamy tą powieścią i ekspedjujemy go razem z numerem 31. Tym sposobem od nowego roku zaczniemy drukować w „Dzienniku dla Wszystkich“ nowe powieści, o których bliższą wiadomość, później podamy.

SIEROCE DZIEJE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Anielę Milewską

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

Pani Ciślińska spuściła oczy.

Dwie siostry nie miały nic wspólnego że sobą. Zenobja, bierna, uległa, nie była zdolną do wielkich uczuć. Odpowiadała życzeniu ojca, wcale nie była egzaltowaną. Miała wiele upodobania wspaniałości zewnętrznej bez rzeczywistego poczucia piękna, była trochę próżną, zachwycała się tem, co dla Izy było obojętnem, a zostawała obojętną w obec tego, co wzruszało siostrę. Pani Ciślińska wtajemniczyła młodszą córkę w dzieje serca starszej, a młodziutki podlotek zdumiał się nad nierozsądkiem Izabeli.

— I ona chciałaby doprawdy iść za niego?— zawołała prawie przerażona tą myślą.

— Perswaduj jej moje dziecko.

— Zenia, uczuwszy teraz wyższość własną pod względem roztropności, wybrała się z przedstawieniami siostrze.

Ale Iza uśmiechnęła się, właściwym sobie, dobrotliwym uśmiechem.

— Co ty możesz mi powiedzieć? — wyrzekła łagodnie — moja droga, myślałam tak wiele, tak wiele, że aż ciało uległo chorobie, chcąc rozstrzygnąć wątpliwości, chcąc określić jasno, co mi czynić wypada; a ty nie pomyślałaś nad tem, ani godziny, ani kwandransa czasu, może i orzekasz z taką pewnością, że chcę popełnić niedorzeczność.

— Ale tak wszyscy mówią.

— Któż są ci wszyscy, z którymi rozbierałaś sprawę moją? powiedz.

— Mama tak utrzymuje i papa także.

— Mama chciałaby zadowolić ojca, a ojciec... ojciec może się mylić...

— Nie dobrą jesteś córką.

— Nie gorsz się mną — zawołała Iza — jesteś szczęśliwą, że pojęciami nieodstałaś od tych, co cię wychowali, może to będzie szczęściem twojem na całe życie. Jednak nie bierz mi za złe, że nie mogę tak myśleć, jak mi każą. urodziłam się inną, niż ty.

Zenia straciła znowu przekonania o swej wyższości i zamilkła.

— Na zakończenie rozprawy powiedziała jednakże. Nie chciałabym wyjść za mąż wpierw od ciebie, wolałabym, abyś wybrała kogoś takiego, kogoby rodzice przyjęli chętnie za zięcia. Hrabiego Władysława podobno zraziłaś... lecz pan Gustaw jest także bardzo miłym człowiekiem, wierz mi, może podobać się bardzo.

— Jestem pewna, że pan Edmund kocha się w tobie, pan Karol zarecza, że tak jest, że to jest widocznem.

Iza roześmiała się gorzko, czy podobnem było siostrom porozumieć się.

— Zeniu — odezwała się po chwili starsza siostra — czy ty kochasz Karola?

— Tak, zdaje mi się, że go kocham.

— Więc cóżbyś odpowiedziała, gdyby ci zaproponowano, abyś poszła za Gustawa.

Zenobja zawahała się z odpowiedzią.

— Wszakże dziwną zdaje się tobie sama myśl?...

— Nie wiem. może, gdyby rodzice koniecznie życzyli sobie tego...

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się Iza, być może.

— Nie wszyscy bywamy jednakowi, zapomniałam o tem zupełnie. Winszuję ci moja droga! — dodała z bolesnym wyrazem w twarzy.

A teraz musimy zrobić bliższą znajomość z panem Wierzbołowskim, przyjacielem Izabeli Ciślińskiej. Był to mężczyzna średniego wzrostu, szczupłej budowy ciała, prawie możnaby go nazwać chudym.

Głowa stosunkowo za wielka do całości, pokrytą była bujnym, dziś już zupełnie siwym włosem, utrzymywanym dość długo, który skutkiem dawnej mody, stawiania czubów, nabrał pewnej własności zwijania się nad czołem.

Rysy twarzy uderzały oryginalnością niepospolitą, czoło wypukłe, wysokie, nosiło cechę artyzmu. Oczy ciemne, osadzone głęboko, patrzały badawczo na ludzi, jakby umiały przeglądać, aż do duszy. Przytem pan Wierzbołowski miał ruchy nader żywe, mówił wiele i szybko, jakby nie mógł zdążyć za cisnącemi się myślami.

Wszystkie kombinacje w jego umyśle, odbywały się nader szybko.

Mimo niekorzystnych przejść ekonomicznych w kraju, które spowodowały tyle upadków majątkowych, dziedzic Wierzbołowa przez zachowanie lasów, doczekał się podwyższenia wartości majątków o sto procent. I dziś zaliczany był do milionowych panów.

Oszczędny z rozumu i z natury, nie otaczał się zbytkiem bezmyślnym, ale kochał piękno. jak artysta.

Stary dwór wierzbołowski, był trochę za szczupły na dzisiejsze wymagania, lecz strojny w winogrady i pnące się róże, w oszklone przystawki, zdobne snycerską robotą, zajmował oko rozmaitością kształtów i niepospolitym wdziękiem szczegółów. Wewnętrzne urządzenie odpowiadało zewnętrznemu, wszystkie ściany zdobiły obrazy większej wartości, albo sztychy arcydzieł sławnych, znakomitej roboty.

Sprzęty były skromne, niskie sofki i krzesła pokryte wzorzystą materją w tureckim guście, w oknach nie było firanek, aby nie okradały światła malowidłom, ale przed każdym z nich stał kosz z wonnymi kwiatami. Najwięcej ulubioną siedzibą pana Wierzbołowskiego była biblioteka, obszerna sala otoczona szafami, pełnemi książek, na środku stał stół okryty zielonem suknem, na którym leżały czasopisma, książki świeżo czytane, jako też przybory piśmienne. Z obszernych tu okien, był widok na ogród zniżający się tarasowo, za którym rozciągały się łąki przerżnięte rzeczką, a zakończone lasem. Nie sądźmy jednak, aby tutaj, tj. w świecie myśli i abstrakcji p. Wierzbołowski za wiele czasu spędzał.

Burzliwa i sprężysta natura jego, potrzebowała czynu, jeździł on po folwarkach, w

małej bryczuszce, sam powożąc w siwego wysokiego konia.

Wiedział wszystko, co się działo w państwie jego i znał się na ludziach, umiał więc dobierać zdolnych i uczciwych zastępców. A to sztuka dobrego administrowania, czy to kraju całego, czy jednej wioski, zawisła głównie, na umiejętnem dobraniu ludzi.

Pan Wierzbołowski nie zamykał się w domu, ale podejmował sąsiadów gościnnie i wywierał na nich wpływ niepospolity wymową świetną, przekonywającą.

Wiemy, że krótkie jego zetknięcie się z Izą, obudziło w tej ostatniej, miłość piękna i dobra, również szlachetne pragnienie czynu. Ludzie tego rodzaju, za samem zbliżeniem, jakby iskrą elektryczną ocucają z letargu wszystkie szlachetniejsze pierwiastki, złożone w duszy człowieka. Pani Wierzbołowska, uwielbiająca męża, pomagała mu dzielnie, stwarzając szczęście domowe na drodze pracy obywatelskiej, która zbyt często bywa ciernistą i zniechęcającą. Obie córki odziedziczyły charakter ojca, a dziś zamężne wywierały wpływ zbawienny na mężach, i na otoczenie swoje.

Pokój pani Wierzbołowskiej, był skromnie umeblowany, łóżko pod błękitną kotarą, zajmowało jednę ścianę, a obok klęcznik mahoniowy, nad którym wisiała piękna kopia madonny Rafaela á la chaise; przez okno otwarte na ogród, napływało świeże wonne powietrze. Kobieta wysoka dość szczupła, w skromnej perkalowej sukni ubrana siedziała w fotelu, zajęta robotą kościelną.

Twarz jej o delikatnych i kształtnych rysach, nosiła cechę pokoju i słodyczy anielskiej, głos miała dźwięczny, muzykalny, wstrząsający do głębi. Mimo skromnego stroju, każdy odrazu poznałby w niej córkę arystokratycznego rodu, pieszczonego przez kilka pokoleń dostatkami, wygodnem lenistwem.

Spuściwszy robotę na kolana, wyjrzała oknem, na skraj świata, oświetlonego zachodzącem słońcem. Drzewa ozłocone po jednej stronie, wabiły oko jaskrawą zielenią; powierzchnie wody stawów, mieniły się wszystkimi kolorami umalowanego na zachodzie nieba.

Czerwone dachy chat wieśniaczych, widniejących po za drzewami, błyszczały ognisto, jak łuna pożaru. Kobieta złożyła ręce i modliła się uwielbieniem dzieł Stwórcy.

Wtedy drzwi nagle otwarły się i do pokoju wpadł szybko pan Wierzbołowski.

Oczy jego pałały młodzieńczo, gdy wołał:

— Emileczko, będziemy mieli gości, nader, nader miłych, zgadnij z kogo?

— Feliksowie, lub Tadeuszowie — odrzekła żona myśląc o córkach.

— Nie, nie ktoś, co tu nie był nigdy, a jest równie miłym, jak własne dziecko, zgadnij.

— Pani Wierzbołowska uśmiechnęła się z lubością. Kobieta, czy mężczyzna? — spytała.

— Kobieta i mężczyzna, przecież o kobietę tu chodzi, jak możesz się domyśleć.

— Nie wiem doprawdy — odparła żona żartobliwie, ale twoje uniesienie radosne wprawia mię w zazdrość, doprawdy, powiedz że mi nareszcie.

— Moja faworytka Izabela Ciślińska, słuchaj jak pisze, w tej chwili list odebrałem:

„Nareszcie, jedno z marzeń moich ma się spełnić, ojciec mój, sam zaprojektował, zawieść mnie do Wierzbołowa, drżę cała na samą myśl, że zobaczę cię mój kochany panie, że uścisnę dłoń, podaną mi z tak szlachetną przyjaźnią... o, panie drogi, proszę cię, powitaj mnie, jak córkę, abym mogła z zaufaniem wyspowiadać ci wszystkie troski i bóle serca".

— Emileczko — przerwał — całując żonę z czułością, przyjmij ją serdecznie także, ona warta tego.

Pani Wierzbołowska popatrzyła na męża z dobrocią.

— Doprawdy — odezwała się — czasami bywasz tak młodym, iż zapominam o liczbie lat przeżytych razem.

— A czasami bywam s ar ym, bardzo starym — odparł mąż poważniejąc; szczególniej, gdy trzeba dom opuścić, pojechać gdzieś dalej, czuję dobrze, że sześć krzyżyków zaciężyło na plecach.

— Nie bądź zazdrosną — dodał rozweselając się znowu, ale każ przygotować pokoje dla przyjęcia gości, bo Iza jest moją najmilszą pieszczotką.

Odszedł, a kobieta pogrążyła się znowu w modlącej zadumie. Życie jej minęło w pokoju, los przychylny, ochraniał ją od wielkich nieszczęść i bolów, miała za co dziękować niebu i prosić, aby tak dalej było.

Serce jej nie znało wielkich burz namiętności, ani goryczy po zawodach; to co ukochała gorąco, było godnem kochania, Bóg, mąż, dzieci, stanowili świat jej cały, dalej nie wybiegała myślą, nie dręczyła się losami ludzkości, nie siliła na rozwiązanie filozoficznych zagadek. Wierzyła silnie, niezachwianie w rządy Opatrzności i w pozagrobowe życie.

W kilka minut potem, pan Wierzbołowski powrócił znów do pokoju, niosąc tekę w ręku, a otworzywszy ją i podając żonie do obejrzenia zapytał.

— Jakże ci się podoba ten rysunek?

— Czy to plan na nowy dom? — zagadnęła pani.

— Tak jest, chcę jeszcze przed śmiercią tego dzieła dokonać. Dom ten za stary i za szczupły dla nowego pokolenia, a boję się, aby niepostawiono czegoś niesmacznego. Kraj nasz płaski, jednostajny, trzeba zdobić gustowną budowlą. Przypatrz się, będzie to coś bardzo ładnego, mówiono mi wiele o młodym budowniczym i doprawdy nie zawiedziono mię.

— Ten rysunek o wdzięcznych i szlachetnych linjach, skłoni mię do zaczęcia roboty natychmiast, napiszę dziś jeszcze do przedsiębiorcy budowlanego. Rozpoczniemy w tym roku.

— Zapaleńcze mój drogi — odezwała się pani Wierzbołowska — nic się nie starzejesz.

— Nie zrzędź Emileczko, wszakże zbierałem się na tę robotę aż nazbyt długo...

— Póki nie miałeś ładnego planu.

— Tak, a to pieścidełko muszę sam wykonać, bo mogliby je popsuć dla oszczędności kilku łokci muru, a szkoda byłaby niczem niepowetowana. I ruchliwy pan Wierzbołowski, odszedł pisać listy, nieodkładając na później nigdy żadnej roboty.

Izabela z biciem serca dojeżdżała do wierzbołowskiego dworu, którego okna oświecone, mrugały przyjaźnie wśród drzew ogrodu.

Zaledwie zajechali, już stał u drzwiczek powozu pan Wierzbołowski, wyciągając przyjaźnie chude swe ręce.

Izabela wyskoczywszy, przycisnęła do ust rękę przyjaciela, a objęta po ojcowsku, położyła główkę na jego piersi.

Pan Ciśliński powitany został z równą serdecznością, aż chłód lodowaty tego człowieka stopnić musiał w uścisku.

W sieni czekała pani Wierzbołowska uprzejma i słodka dla wszystkich jednakowo.

Iza była prześliczną, rozpromieniona radością i wzruszeniem serdecznem, włosy stargane pod kapeluszem, spadały w malowniczym nieładzie na czoło i szyję.

— Ależ moja kochana panno Izabelo, wypięknialaś o sto procent od czasu, gdym cię nie widział — wołał pan Wierzbołowski, przyglądając się patrzącej nań z czułością dziewczynie. Dlaczego nie pisałaś mi o tem? — dorzucił po chwili żartobliwie.

— Chciała zrobić niespodziankę — odrzekł pan Ciśliński.

— Mój mąż — odezwała się pani Wierzbołowska zapala się na widok piękna, jak młodzik, ale tak samo będzie się zachwycał ładnym portretem, jak pani osobą.

— To stara zazdrośnica — żartował mąż — nie wierz jej pani, ma zwyczaj obmawiania mię w obec ładnych kobiet i wyliczania liczby lat przebytych w pielgrzymce ziemskiej.

— A co to komu do tego! nieprawdaż panno Izabelo?

— Izo, proszę mię tak nazywać, jak w listach, nie inaczej, — mówiło dziewczę przymilając się.

— Nie mogę, — szepnął jej wesoły gospodarz, moja stara zaprotestowałaby natychmiast"

Potem nastąpiło obejrzenie wszystkich kątów przez Izę, która niechciała tu być obcą, potem podano wieczerzę i herbatę, a przy niej rozpoczęła się rozmowa ożywiona o Włoszech, o sztukach pięknych, która przeciągła się aż w późną noc. P. Ciśliński był bezwzględnym wielbicielem sztuki greckiej, zwąc ją uzmysłowieniem wszystkich idei człowieczeństwa, przyznając dojście do najwyższego ideału piękna z zachowaniem prawdy realnej. Chciałby zalecać obecnym artystom zwrócenie się do owego pierwowzoru bez zarzutu.

Z tego wywiązała się długa rozprawa, którą p. Wierzbołowski, zakończył temi słowy:

— Sztuki piękne są niezawodnie wcieleniem pojęć i uczuć właściwych pewnemu ludowi, w pewnej epoce. A ponieważ duch wszechludu rozwija się wciąż, a nie cofa, przeto wieki późniejsze i dzisiejsze, miały i mają nowe idee, o których stara Grecja nie śniła.

Dla tego nie mogę sztuki greckiej nazwać uzmysłowieniem wszystkich pojęć człowieczych, bo lud ten nieznał jednej z większych potęg serca ludzkiego, nieznał mistycyzmu religijnego, owych zachwytów ducha, uwiecznionych plastycznie przez sztukę chrześcijańską.

Radbym ciągnął dalej gospodarz, — aby artyści nasi, rozmiłowali się w sztuce greckiej, bo znaleźliby w niej antidotum dla dzisiejszego realizmu, wyszukującego przedmiotów brzydkich, płaskich, trywialnych, dla swych malowideł, jak gdyby prawda, a szpetność koniecznie jednem i tem samem być miały. Jak gdyby ludzkość i świat ziemski. nie miały w sobie nic pięknego, ani podniosłego. Zaprawdę, niepotrzeba, wkraczać w krainę fantazji, aby znaleść przedmiot godniejszy pędzla, nad pospolitość nie mającą w sobie nic uszlachetniającego.

Zadaniem sztuki, wedle mego zdania, powinno być podniesienie ducha i skierowanie myśli w szersze sfery, a nie pojmuję, jaki może być cel obrazu, przedstawiającego konie, bryki i pijanych pocztyljonów.

Chciałbym, — mówił dalej p. Wierzbołowski błyskając oczyma, abyśmy wszyscy stali się więcej grekami, gdyż, jak teraz nie jesteśmy, ani poganami, ani chrześcijanami. Nie rozbudziliśmy w sobie poczucia piękna, nie umiemy żyć w całej pełni zmysłowości pogańskiej, ani się nie wznosimy do ascetyzmu chrześcijańskiego.

— Jesteśmy tylko barbarzyńcami!

— Śmiejesz się pan, panie Auguście bierzesz to za poradoks, ale tak nie jest. Zbytek bez smaku, jest cechą barbarzyństwa, wszakże prawda?

— A czy mieszkania nasze i wszystko, czem się otaczamy, nie odznacza się właśnie zbytkiem, kosztownością, a czy nie bywa najczęściej pozbawionem smaku artystycznego.

— Wszystko, nawet wyroby złotnicze, — wszystko, nawet stroje kobiet.

— Przepraszam, — przerwała p. Wierzbołowska, mody nie są przecież wytworem polskiego smaku.

— Więc mnie nie koniecznie chodzi o samą Polskę, — odparł jej mąż, z pewną niecierpliwością, gdyż nie lubił, gdy mu przerywano mowę. Niestety! Jesteśmy tak mało samoistni, że każdy objaw życia, jest tylko spóźnionem echem zachodu.

Mówiąc, my, miałem na myśli europejską rodzinę dzisiejszej epoki.

Dobrowolnie wracamy do barbarzyństwa, chcąc się otrząsnąć z niezdrowych nabytków, cywilizacji, nie pomni na to, że w pochodzie wieków nic się nie wraca.

Pewno nie wrócimy więcej do pierwotnej siły fizycznej, zdrowej krwi i niespożytych nerwów dawnych ludów nieucywilizowanych.

Nie cofać się nigdy, — ale iść naprzód nam potrzeba! — Nie gardzić spuścizną po przodkach, ale złożyć z niej fundamentem to, do nowej budowli.

P. Wierzbołowski zapalał się, czerpiąc natchnienie w płomienistych oczach Izabeli, która słuchała z entuzjazmem prawdziwym. Po bladych rysach p. Ciślińskiego błąkał się nieokreślony uśmiech, maskujący wewnętrzne usposobienie ducha.

Rozmowa w dalszym ciągu przeszła na sprawy społeczne.

— Nie wolno nam, — mówił gospodarz, nam możniejszym. nie przykutym niewolniczo do taczki pracy powszedniej na chleb, zasypiać bezczynnie myślą, lub zamykać się w ciasnem kółku własnych interesów.

Świat obecnie postępuje nader szybko, gorączkowo, koziełkuje nawet czasami w pochodzie; najniższe massy społeczeństwa, ciemne, sfanatyzowane, pchają koło przeznaczeń jego, niedoświadczonemi dłońmi, a my, zasypiamy w pokoju, nieznając nawet dokładnie tych podziemnych robót, nie oddziaływając niczem.

Przyjdzie chwila, a Nemezys, pomści się okrutnie na naszych potomkach, za to lenistwo ducha.

P. Ciśliński podniósł się z siedzenia, co także uczynił p. Wierzbołowski; ojciec Izabeli przenosił o całą głowę wzrostem gospodarza, a jednak w obec inteligencji pierwszego, czuł się bardzo małym i mocno upokorzonym.

— Może masz pan słuszność, — odezwał się cichym głosem, jakby onieśmielony — może masz pan słuszność, coś dzieje się w koło nas, czego nie znamy, to pewna, ale jakież środki oddziaływające zalecasz pan na teraz?

— Zalecam pracę usilną, na każdym kroku — odparł gospodarz, a widzę w koło siebie, wygodną drzemkę, bezmyślne zabijanie czasu w rozrywkach, lub co najwyżej, działanie w ciasnem kole osobistych spraw...

— Co pan chcesz? — przerwał gość z niezwykłą niecierpliwością, na ofiarników, nie wszyscy bywamy stworzeni. — Społeczeństwo, jest łańcuchem, związanym z pojedyńczych ogniw, zamkniętych w sobie i nigdy inaczej układać się nie może...

— Przepraszam... — przerwał gospodarz, — przepraszam. Porównanie jest złe. Człowiek żywy, z wrącą namiętnością, z myślą szamocącą się wiecznie, nie może iść w podobieństwo z metalem.

Chcąc nie chcąc oddziaływamy na bliźnich dobrze, lub źle. Są chwile, w których własne bezpieczeństwo wymaga od wszystkich ofiarnictwa. Gdy powódź grozi, gdy pożar w domu, wtedy wszyscy biedz muszą dla powstrzymania zgubnego żywiołu.

Jesteśmy w przededniu strasznych kataklizmów i potrzeba nam brać się wszystkim, do szybkiego ratunku. Czujniejsi, mamy obowiązek budzić ospałych i powoływać do działania.

— Jak działać? Co robić? — zapytał ojciec Izabeli — podrażniony nie miło.

Potrzeba pysznym uniżyć czoła, możnym trzeba dzielić się z uboższymi. Potrzeba pomyśleć o zabezpieczeniu spokojnej starości wydziedziczonym i pracującym klasom ludności.

— Ba, zechciej mi pan to określić praktycznie — wycedził z pewnem odcieniem ironji Ciśliński — Wierzbołowski zerwał się i poszedł do bibljoteki, zkąd wkrótce powrócił z teką pełną papierów.

To są ustawy — mówił — już wprowadzone w wykonanie w dziedzictwie mojem.

Oto ustawa emerytury dla sług dworskich począwszy od ekonomów i pisarzy, a skończywszy na parobkach folwarcznych. Każdemu edtrąca się jakiś procent od płacy rocznej...

— Czy możebne jest odtrącać coś z zasług, z których zaledwie wyżyć mogą.

— Na to jest sposób w podwyższeniu płacy rocznej.

— Bardzo pięknie — ale jak będzie wyglądał bilans czystego dochodu?

— Zapewne gorzej; — więc potrzeba nam mniej wydawać, żyć mniej wygodnie i mniej wspaniale. — Układam budżet z góry i żyję, jak mogę.

— Ach! tatko — zawołała Iza niebacznie — p. Wierzbołowski ma słuszność, jakżebym chciała być jego córką...

Zatrzymała się — spostrzegłszy smutny wyrzut w spojrzeniu ojca.

— Przejrzysz to pan w stosownym czasie — mówił pan Wierzbołowski — rozkładając papiery, a oto jest ustawa kasy pożyczkowej dla moich włościan, której jestem dyrektorem.

— Tak jest, panno Izo — dodał żartobliwie — proszę nazywać mię „panem dyrektorem“ koniecznie, bo ten tytuł należy mi się.

— Jakże się udaje ta historja? — rzucił p. Ciśliński z niedowierzaniem.

Z początku, spotykałem wiele trudności, które udało mi się usunąć po trochu.

Długoletnia praca w tym kierunku zyskała mi zaufanie ludu, a to rzecz najważniejsza. Ludowi naszemu przychodzi nader trudno uwierzyć w bezinteresowność czynu. Nie rozumie go, więc nie wierzy — ale raz uwierzywszy — słucha ślepo. Dziś potrafię z niemi zrobić, co zechcę, ale przyznaję jednako, że nie dochodzi się łatwo do celu, że odrazu nic się nie zrobi, że trzeba przez długie lata zarabiać na ufność.

Spojrzał na zegarek, była druga godzina.

Za późno na dłuższą gawędę — zawołał — potrzebujecie z drogi spoczynku. Żona moja odprowadzi was do waszych pokoików.

— Jutro z rana muszę zrobić wycieczkę do sąsiedniej wioski, na parę godzin. Wtedy, aby się nie nudzić, przejrzyj to panie Ciśliński — dodał — podając swe papiery, przejrzyj, pomyśl, i zrób swoje uwagi.

— Ręczę, że wszystko jest doskonale obmyślane — odparł — wielkoświatowiec z grzecznym ukłonem.

Pani Wierzbołowska odprowadziła gości aż do gościnnych sypialni, umieszczonych na górze wierzbołowskiego dworu, w jednej z przystawek fantastycznych.

Izabela podniecona nerwowo wrażeniem radości i słyszaną rozmowę, długo usnąć nie mogła, a w przyległym obok pokoju, słyszała niespokojne kroki ojca.

Nazajutrz, dość późno, Izabela obudzoną została turkotem odjeżdżającego pojazdu, zerwawszy się z pościeli, wyjrzała oknem i poznała p. Wierzbołowskiego, powożącego swoją jednokonną bryczką. A dalej wsród drzew

ogrodu, przemknęła wysoka postać pani domu, dążąca w stronę, gdzie robotnicy pracowali.

Dziewczyna zaczęła ubierać się szybko, dawno nieznana pogoda zagościła w jej piersi. Dla czegożby ona nie miała żyć także podobnie, życiem ruchliwem, użytecznem?

— Czyż potrzeba koniecznie pędzić godziny w lenistwie ciała i myśli, urodziwszy się bogatą. — W krótce ubrana lekko i skromnie, wybiegła do ogrodu. Doścignąwszy p. Wierzbołowską i powitawszy serdecznie, prosiła o pozwolenie towarzyszenia w przechadzce.

— Właściwie, nie jest to przechadzka bezcelowa — odezwała się pani domu — tylko kontrola, nad robotnikami w ogrodzie, mnie, całkowicie powierzona przez męża.

— A co pani nosi w koszyczku? — Czy wolno odebrać i ponieść — pytała Iza.

— Z rana odwiedzam zwykle chorych, w koszyczku są lekarstwa — odparła Wierzbołowska.

— Będę pani posługaczką.

Szły jakiś czas cienistą aleją wspaniałych kasztanów.

— Daruj mi pani natręctwo pytania — odezwała się młoda dziewczyna — po dość długiem milczeniu, trzeba pani wiedzieć, że jestem z przyrodzenia bardzo ciekawą...

— Wiem, wiem — odparła starsza kobieta — z dobrocią, jesteś ciekawą, ale tą ciekawością, która do mądrości wiedzie, — myślisz wiele, zastanawiasz się, badasz?

— Nie wiem, czy rzeczywiście, i o ile zasłużyłam na tak pochlebny sąd, w każdym razie, zechciej mi pani powiedzieć... czy byłaś zawsze zadowoloną ze swej doli na ziemi?

— Pani Wierzbołowska spojrzała łagodnie na mówiącą, a po pewnym namyśle— odrzekła:

— Miałam także przykrości w życiu, bo któż ich nie ma? Dzieci mi chorowały, maleńki chłopczyk umarł, ale z losu mego i wyboru, byłam zawsze zadowolone, i gdyby mi przyszło raz jeszcze przebiegać wędrówkę żywota, poszłabym na pewno tą samą drogą... W dziecięctwie, w pierwszej młodości, cierpiałem wiele, nasze stosunki domowe były przykre, zatruwały mi życie wyrosłam w smutnej szkole doświadczenia, tem więcej umiałam potem cenić szczęście moje w zamęściu. Kochać, uwielbiać, dążyć męża szczęściem domowem, w zamian za troski i trudy za domowe, które dobrowolnie podejmował, oto była treść życia mego, szczupła, bezbarwna, a jednak jakaś świetlana...

— O tak, pojmuję cię pani doskonale — zawołała Iza. Jesteś wybraną z pomiędzy wielu! Ale powiedz, gdzie szukać takich ludzi, jak p. Wierzbołowski?

— Czy każda z nas może znaleść takie szczęście, jak twoje? Niestety! Pomyśl pani, coby się działo z tobą, gdybyś, zamiast przymiotów, godnych uwielbienia, znalazła w mężu swoim, sobkostwo, ciasnotę myśli, lub niedołęztwo charakteru!

— Pani Wierzbołowska zakryła twarz dłońmi.

— Nie mogę myśleć o tem...

A jednak na los podobny zgodzić się nam potrzeba...

— Dla czego?

— Najpierw jest wybór trudny, a potem nie mamy wolności wyboru.

Minęły ogród, stanęły przed chatą dość schludną. Pani włości, poprowadziła gościa do wnętrza chaty.

Izba była widna, ale napełniona dusznem i przykrem powietrzem; na łożu, w pościeli niezbyt czystej, leżała kobieta wynędzniała, długą chorobą.

Był to nader przykry, a tak pospolity obrazek wiejski. Choroba gospodyni wiodąca za sobą nędzę, brud, zaniedbanie.

Pani Wierzbołowska siadłszy na stołku, zaczęła rozpytywać o stan zdrowia, a dalej o różne szczegóły życia.

Gdy wróciły do pokoju, zastały obu panów zajętych rozmową.

Na widok kobiet, obaj powstali, a pan Wierzbołowski uścisnąwszy rączkę Izy, posadził ją obok siebie.

— Widziałem was schodzące do wioski — mówił z poufałością ojcowską — odgadłem w jakim celu. — Czy pani nie zajmowałaś się ludem w ten sposób?

Ze wstydem wyznać muszę, że dotąd nie, odparła Izabela, zapewne moja w tem wina, bo pan zachęcałeś mię kiedyś do podobnych zajęć, straciłam wiele, nie posłuchawszy pana odrazu... ale to zmniejsza winę moją, że dotąd nie mieszkałam stale na wsi, przyjeżdżaliśmy zwykle na kilka miesięcy letnich do Ciślina, a na zimę wracaliśmy do Warszawy. — Tatku — mówiła dalej — zwracając się do ojca, i całując go w rękę. Odtąd nie opuszczę ciebie, będę twoją gospodynią w Ciślinie, będę naśladowała panią Wierzbołowską;... a może życie nowe wyda mi się znośniejsze.

Łza zaświeciła w ciemnych oczach, powstała szybko i wybiegła z pokoju.

Dwaj mężczyzni spojrzeli na siebie w milczeniu.

— Mamy prawdziwe zmartwienie z tą dziewczyną — odezwał się p. Ciśliński po chwili namysłu i widocznego wahania. Zaledwie dorosła, a rozwinęła się w niej rodzaj melancholji. Nic ją prawdziwie nie bawi, nic nie cieszy, a wiecznym smutkiem zatruwa nam życie. Bądź co bądź, w wieku naszym, żyje się więcej w dzieciach, odczuwając ich radości, smutki i pociechy, nie prawdaż?

— Niezaprzeczenie — odpowiedział Wierzbołowski — tak jest. A jakże często, my, rodzice, przez źle zrozumianą miłość, stajemy się, przyczyną smutków naszych dzieci.

— Może być... bywa tak czasem... ale roztropność doświadczenia każe zasmucać chwilowo dla uniknięcia większych nieszczęść w przyszłości.—Mówił ojciec z zakłopotaniem.

— Nie chcę zapuszczać się w wasze tajniki domowe — wyrzekł jeszcze p. Wierzbołowski, jednakże muszę ci powiedzieć panie Auguście, że o ile poznałem z listów pisywanych do mnie, dziecko twoje, jest niepospolitą istotą.

Iza ma rozum mędrca i szerokość poglądów filozoficzną prawdziwie. Ciasnota pojęć drażni ją, niesprawiedliwość sądów męczy. Ona nie może oddychać w atmosferze małostek światowych, w których, chcecie ją zamykać. Dajcie jej swobodę i pole do działania, a zobaczycie, jak szeroko rozwinie się jej umysł, a w sercu jej zakwitną wielkie i szlachetne uczucia.

— Odgadłem to, za pierwszem na nię spojrzeniem, ongi, w drodze z Krakowa do Wiednia. Niezwykły w jej wieku smutek, prawie zrek nie zwróciło najprzód moje uwagę. Zacząłem ją śledzić, dopatrywałem, że czoło jej wyniosłe wysoko sklepione, znamionuje, wyższy umysł, że nie może to być pospolite gapiątko. — Zacząłem mówić, a widziałem, że każda myśl wyższa, przyjmowała się natychmiast, w tej ślicznej główce, że oczy wprzód martwe i łzawe, utonęły z ciekawością w mej twarzy, potem zapłonęły ogniem inteligencji i w kilka godzin zawarliśmy sojusz przyjaźni, której trwałość jest także objawem niepospolitości.

Panie Ciśliński, masz skarb drogocenny, nie zmarnuj go bezpożytecznie dla ogółu. A przedewszystkiem, nie wydawaj za mąż za błazna, któryby nie potrafił ocenić jej wartości.

— Iza miała kilka bardzo dobrych partyj — rzekł p. Ciśliński, pierwszego konkurenta nie wymienię, chociaż posiadał wszelkie warunki, podobania się, ale nie podobał. Drugim był powszechnie znany z pięknej opinji hr. Władysław.,. Toraczewski.

— A... wiem, hrabia Władysław..! — przerwał Wierzbołowski — dobry chłopiec, rozmyślnie starałem się poznać go, przyznam się panu, że zawiódł trochę moje oczekiwania, słaba głowa... dlaczegoż Iza go nie chciała?

— Nie wiem, nie podała przyczyny, odrzuciła jednak... ma wiele uporu w charakterze.

— Pomówię z nią o tem, jeżeli tylko o opór chodzi — zdaje mi się, że mam wiele wpływu na nią.

P. Ciśliński zdawał się mocno zakłopotanym.

— W takim razie... — wybąkał dość niewyraźnie, muszę pana uprzedzić,.. że... ona zajęła się młodym człowiekiem, którego, nieżyczymy sobie do rodziny przyjąć...

— A ha... można się było domyśleć — zakończył p. Wierzbołowski i przeszedł do innego przedmiotu rozmowy.

— Jutro muszę znowu dom opuścić na kilka godzin, nie weźmiesz mi za złe, panie Auguście, jeśli cię ze żoną zostawię... Jest to sprawa terminowa, nie cierpiąca zwłoki, i chodzi o interes małoletnich.

— Proszę sobie nie robić ze mnie żadnej dystrancji — rzekł P. Ciśliński.

— Nie można się starzeć, panie Ciśliński — mówił znowu, Wierzbolowski — zaprowadziwszy gościa do swej bibljoteki, na cygaro, jest to właściwością naszej natury, iż przywykamy do starych pantofli, do sukni starego kroju i do pojęć, z którem i weszliśmy od młodości, a które ugrzęzły w naszym mózgu, jak wóz ładowny w błocie.

— Niepodobna walczyć z prawem natury — odrzekł Ciśliński — siląc się na słodkawo-kwaśny uśmiech.

— Przeciwnie — zaprzeczył gospodarz — przywilej ludzki, silna wola, mimo, to, że

dziś staje się, coraz rzadszem zjawiskiem, ma we mnie, zapalonego wielbiciela i obrońcę.

Od młodości wyrabiałem ją w sobie, nie ulegając nigdy słabostkom i zachciankom.

— Nie chcę się zestarzeć, panie Ciśliński, przedewszystkiem, umysłowo. — A cudowne leki przeciw złemu, leżą tu — dodał — wskazując na zeszyty czasopism w różnych językach: angielskim, francuzkim, niemieckim i polskim.

Czytam to wszystko, gonię, chwytam, każdą myśl nową, aby przyjrzeć się jej z bliska, rozważyć, czy rzeczywiście, nie mogłaby być na cośkolwiek przydatną, boć w każdej prawie, jest trochę prawdy, i trochę fałszu.

— Nie rozumiem — zauważył gość — zkąd pan bierzesz czasu na wszystkie zajęcia? I nie pojmuje, jakim sposobem, żyć możesz w ciągłym ruchu, bez znużenia.

— Zapewne, jest to właściwością mojej natury, po trochu, a po trochu, nałogiem wieloletnim. Bezczynność mię nuży właśnie.

A rozmaitość zajęć stanowi już pewien odpoczynek, pracując fizycznie, spoczywam umysłowo i odwrotnie.

— Uwielbiam, uwielbiam, ale naśladować nie byłbym w stanie — zakończył Ciśliński.

— Twoja córka — odezwał się po chwili p. Wierzbołowski — wyspowiadała się przed moją żoną; kobiety do siebie, mają zwykle więcej zaufania. Wyobraź sobie, jak się dziwnie złożyły wypadki, wybrany jej serca, jest młodym budowniczym, który dawał plan na dom mój przyszły.

— Czy tak w istocie?

— Tak jest — mówiono mi o nim, jako o utalentowanym młodzieńcu, a przysłane rysunki zadowoliły mię zupełnie.

Mówiąc to podał tekę do przejrzenia.

— W rzeczywistości ma talent — mruknął pan Ciśliński.

— Sprowadzę go tu... poznam, przyjrzę mu się z bliska... dla szczęścia dzieci, powinniśmy wyrzec się naszych słabostek...

Gość wyglądał w tej chwili na delikwenta, kręcił się na krześle, jak mucha w ukropie, a twarz pokryła zielonkowa bladość.

Przywykły do hamowania uniesień, nie wybuchnął przecież.

— Jesteś pan zbyt łaskaw — mówił przez zęby — zbyt łaskaw.

— Kocham twoje dziecko, jak własną córkę.

— Nie wątpię o tem.

— Dziewczyna ma charakter, wytrwałość i sumienność, nie wymożesz pan łatwo na niej ustępstwa...

— Wierzę temu — przerwał ojciec Izabeli — szczególniej teraz, znalazłszy protektora, umocni się w uporze swoim.

Wierzbołowski podniósł się zniecierpliwiony.

— Mylisz się pan — zawołał — nie mówiłem z nią, ani słówka o tym przedmiocie i nie będę mówił nigdy, słowo daję. Pan zaś możesz wysłuchać przekonań moich, przyjąć, lub odrzucić, jak się podoba...

Światowiec wypowiedział mnóstwo słów grzecznych, a czczych, którymi zwykle ludzie wielkich salonów obdarzają się wzajemnie, jedni drugim nie wierząc wcale.

Wśród tej mieszaniny zabłąkał się frazes:

— Nie spodziewałem się nigdy, znaleść w panu, ultra-demokratę.

— Ultra-demokratę? — zaśmiał się Wierzbołowski — to trochę za wiele, ale siadajmy — dodał; zechciej pan posłuchać wyznania mych przekonań pod tym względem:

— Wierzę, kochany panie, w dziedzictwo cnót, jako i występków; wierzę w szlachetność krwi, a wiara ta jest podstawą arystokracji, w dobrem rozumieniu — więc jestem arystokratą.

— Ale teraz, przyznaj pan, że mało, nader mało liczymy rodów, przekazujących z krwią przodków, dziedziczne cnoty obywatelskie i chrześcijańskie.

— Przyznaj pan, że przeciwnie, wyjątki uzdolnione i szlachetne, budzą podziw, że się w tej rasie, podobne znajdują.

— A to bardzo smutny objaw opinji publicznej, bardzo smutny!

Pan Ciśliński pobladł, jak ściana.

— Przeciwnie — ciągnął dalej gospodarz — krew naszych paniczów, wycieńczona rozpustą, zbytkiem, rodzi zdenerwowane niedołęgi, a kończy na idiotach.

Przed oczami pobladłego słuchacza, stanął zmarnowany, zniedołężniały Karol Kotulicki.

— Tak panie kochany — kończył Wierzbołowski — szukajmy odrodzenia w potomkach, przez ludzi czynu, zdolnych umysłowo i zdrowych fizycznie. Jest to interesem arystokracji, dobrze zrozumianym interesem.

— A jakież znaczenie ma u pana nazwisko? — zapytał gość po chwili dość długiego z obu stron milczenia.

— Nazwisko, co prawda, jest dla mnie bez znaczenia, chciałbym tylko, aby miało brzmienie eufemiczne.

Estetyka i tu bierze we mnie górę, nie lubię nazwisk twardych, lub przypominających niesympatyczne stworzenia, albo obrzydliwości.

Ciśliński roześmiał się szczerze.

— Jesteś pan niepospolicie oryginalnym człowiekiem — zawołał.

— Wiem o tem — odparł z uśmiechem Wierzbołowski — zgodziłem się na tę nazwę oddawna; bo kogoż cechuje ona?

Nazwa oryginału oznacza pospolicie człowieka, który wzbił się cokolwiek wyżej, nadzwyczajny poziom umysłowy w parafji, który widzi dalej i szerzej i ma odwagę wypowiadać swe przekonania bez ogródki.

Zwią mię tu oryginałem w okolicy, a jednak boją się i słuchają mię, niekiedy, czego też pragnę.

Rozmowa ta przerwaną została wejściem lokaja i oznajmieniem przez tegoż o podaniu obiadu uczyniła przecież głębsze wrażenie, na umyśle p. Ciślińskiego, niż wszystkie poprzednie, odebrała mu nawet apetyt.

Do głowy jego przyszły pytania, dlaczego oddawał ziemię Karolowi, człowiekowi zrujnowanemu fizycznie i materjalnie.

Czuł, że wstydziłby się przedstawić przyszłego zięcia p. Wierzbołowskiemu:

Pierwszy raz przyszło mu na myśl, czy nie byłoby lepiej zerwać związek teraz. Ale, coby świat na to powiedział? czy zresztą byłoby to uczciwie? Alboż nie powinien był pomyśleć o tem wcześniej, zanim zezwolił: jako ojciec.

Nowy ten kłopot odsunął sprawę Izabeli na bok, a opanował całkowicie sumienie ojca.

Jan Dąbrowski urodzony i wychowany w podobnych warunkach, odmiennie od Adolfa, kształcił swój charakter.

Przyroda obeszła się z nim po macoszemu, odmawiając darów, ułatwiających, pielgrzymkę ziemskiego żywota, a dając sporą dozę dumy. Z tego wyrodziła się w nim skrytość, odstręczająca rodzeństwo, z czego wywiązał się następnie żal, jakoby za pokrzywdzenie.

Potrzeba było, aby dziewczyna, do której przywiązał się od dawna, która stała się jeszcze milą nad wszystko, przylgnęła ślepo, do szczęśliwego Adolfa, nieumiejącego cenić jej przymiotów, niechcącego wywzajemniać się za serdeczne uczucia wcale.

Te okoliczności wpływały nie bardzo szczęśliwie na charakter Jasia, stawał się on, coraz zgryźliwszym, więcej szorstkim, nienawistnym prawie. Skończywszy z wielkim trudem gimnazjum, słuchał wykładów prawa, a zarazem pracował w kancelarji jednego z adwokatów, sposobiąc się do tegoż zawodu. Ciężką pracą, zarabiał mało i żyć musiał kosztem wspólnego, sierocego stołu.

Zrobił oprócz tego znajomość z człowiekiem, który nader niekorzystnie wpłynął na jego ustrój umysłowo-moralny.

Kazimierz Korycki był kolegą Jana, w kancelarji adwokackiej. Burzliwy, negacyjny i pesymistyczny w najwyższym stopniu umysł, targał się i miotał wiecznie, na wszystkich i na wszystko.

Syn bogatych rodziców, osiadłych na wsi, pogniewał się z ojcem, zerwał wszystkie stosunki z rodziną własną, utrzymując, że wszyscy oni są bydlakami, a majątek, z którego żyją, zdobyli krzywdą bliźnich, oblany potem i łzami ludu, truł go, a nie nasycał.

Była to dziwna mieszanina, szlachetnych popędów z gorzknięciem nieznośnem złączona.

Niski, drobny, chudy, błyskał mówiąc, oczyma, jak wilk w ciemności.

Wiemy, że deklamacje Adolfa przeciwko porządkowi społecznemu, prędko porzucone przez tego, głęboko utkwiły w umyśle młodszego brata, w którym znalazły grunt odpowiednio przygotowany.

Teraz, wpływ nowego przyjaciela, rozplenił bujne ziarna pesymizmu i negacji.

Korycki mieszkał gdzieś pod strychem, w ciemnej i zabrudzonej stancyjce, tam w chwilach wolnych prowadził Jana, a sam rzuciwszy się na twarde łoże, zostawiając wygniecioną sofkę towarzyszowi, poił go goryczą swych myśli.

— Czytałeś filozofję nieświadomości Hartmana? — pytał.

— Nie.

— A dla czego?

— Nie znam języka niemieckiego.

— Co za szkoda, dałbym ci książkę. Wyborną powiadam ci. Znalazłbyś w niej mądrość prawdziwą i uczułbyś roskosz niewypowiedzianą na myśl, że jest ktoś przecie

co patrzy właściwie na rzeczy i ma odwagę do wypowiedzenia jej w całej nagości absolutnej.

Może lepiej — odezwał się Jaś — paląc ofiarowane cygaro, może lepiej dla mnie, że nie mogę czytać podobnych rzeczy, nęcą mię one, ale drażnią przykro i rozstrajają nerwowo.

— A widzisz dziecko — przerwał Korycki — nie dorosłeś jeszcze do mnie. Braknie ci odwagi.

— Dobrze, dobrze, kochanku, baw się w złudzenia... ciesz się... wszystko jest najlepiej, na tym najlepszym świecie.

— Nie — odparł Dąbrowski — siadając na niewygodnem łożyszku, wiem, że dobrze nie jest, bardzo źle jest nawet; sama natura jest niesprawiedliwą względem nas, jest okrutną — przydał — zapalając się. Jedno dziecko darzy hojnie, drugie wydziedziczając niemiłosiernie, skazuje na męczarnię bezustanną.

Ludzie muszą być tak samo niesprawiedliwi, jak wytwory tejże przyrody... ale... ale... gdybyście podali sposoby na zmianę praw nieugiętych przyrody...

— Ha! ha! ha! zaśmiał się szatańsko pesymista, chciałbyś się wyrwać z koła...

— Nie możesz wytrwać... Wolisz łudzić się, nadzieją kochanki pocieszać jutrem...

— Wszakże wy wszyscy tak żyjecie? Źle wam dziś, to nic, potem będzie dobrze.

— Dzieci! Dzieci!

— Co do mnie, czuję pewną roskosz na myśl, że sam jeden, pośród was, żyć umiem bez złudy, bez nadziei. Czuję się dumnym, wielkim...

Jan milczał.

— A wiesz, od jakiego czasu jestem prawie... prawie szczęśliwy... — ciągnął dalej zwolennik filozofji nieświadomości, oto, od chwili, w której zerwałem z rodziną, ze wszystkimi, którzy mię niby kochając dręczyli nieznośnie.

— Jestem szczęśliwy, odkąd zacząłem żyć chlebem zapracowanym, a wyrzekłem się dziedzictwa krzywd.

— Rzeczywistości czujesz się szczęśliwym? — pytał Jan.

Kazimierz parsknął śmiechem, jak kot najeżony.

— Szczęśliwy? szczęśliwy? Zabawne pytanie!

— Albo są szczęśliwi na ziemi? Szczęśliwy jestem, bom wzgardził szczęściem i plunąłem na nie...

— Czy nie kochałeś się nigdy? — zagadnął po chwili Dąbrowski.

— Wiesz, że gardzę miłością, jako ogłupiającem zjawiskiem.

— Chyba nie kochałeś się jeszcze?

— Owszem, będąc studentem, szalałem za dziewczyną. Kochałem do warjactwa, do idjotyzmu. Nie zwabisz mię na tę przynętę zwietrzałą i nie smaczną.

— Na to zgodzić się nie mogę — wyrzekł Jan.

— Kochasz się? wyznaj szczerze, kochasz się?

— Tak jest — odparł zapytany — kocham szczerze oddawna... i...

— I co?

— Czuję, że byłbym szczęśliwy, gdybym miał wzajemność.

— Więc nie masz wzajemności? Biedny! Ale tem lepiej dla ciebie! Rychlej wyleczysz się z głupstwa, a wtedy, znajdziesz szczęście trwalsze, niż to, jakie miłość małżeńska dać ci może, która znika bezpowrotnie, nazajutrz po ślubie. Znajdziesz szczęście w filozofji pesymistycznej. Wierzaj mi, że ona jedna daje ukojenie wszystkich pragnień gorączkowych, ona jedna tworzy życie... nie ludzkie...

— Jakież więc? — rzucił Dąbrowski.

— Jakie? Jakie? Ty, nie rozumiesz mię, nie potrafisz zrozumieć mię..

Czasami Korycki, rozłożony na łóżku swojem, rozmarzył się po swojemu.

— Wyglądam z upragnieniem rewolucji społecznej — mówił — wprawdzie, nie wierzę, aby po niej lepiej było na świecie, aby jej skutkiem ludzkość doszła do szczęśliwego bytu.

— Nie, temu nie wierzę. Ale potrzeba aby, świat skąpał się we krwi, potrzeba, aby spróbował nowych dróg i uwierzył nakoniec, że nie ma dlań nadziei polepszenia bytu.

— A cóż za korzyść ztąd wyniknie? — pytał Jan ciekawie.

— Potrzeba, tłómaczył się Korycki, potrzeba, aby człowiek doszedł co rychlej do samowiedzy, bo ona jedna da mu radę i odwagę potrzebną do działania...

— Do powszechnego samobójstwa?

— A może być.

Jan wysłuchiwał tych gawęd z pewną namiętnością. Wszystko poczerniało w oczach jego. Śmiech swobodny rodzeństwa, zaczął go razić i niecierpliwić.

Jednak, ile razy zobaczył smutną i poważną twarzyczkę Haleczki, serce jego miękło, a słodka błogość napełniała je.

— Gdyby mu powiedziała: „kocham i będę wierną“, porzuciłby pesymizm i Koryckiego, a rzuciłby się oburącz w objęcia szczęścia zwyczajnego, którem wolno niekiedy cieszyć się biedakowi, a które czasami, bogaczowi odmówionem było. W ostatnich czasach, okoliczności odmieniły się, Adolf prawie nie widywał Haleczki, a dziewczyna była bardzo smutną, prawie znękaną. Mimo to, młodszy brat, niezastanowiwszy się nad niestósownym wyborem chwili, sądząc, że rozdrażnienie na Adolfa, skłoni ją ku niemu, ośmielił się, szepnąć jej słówko, o swem przywiązaniu i o pragnieniu gorącem, aby mu była wzajemną.

Było to w saloniku pp. Chwalibogów, Halka była ubraną, jakoś szczególnie do twarzy; różowe wstążki u stanika i kwitnąca róża we włosach, rzucały blask na śniadawą jej cerę.

Słowa młodzieńca, wywołały na jej lica przelotny rumieniec, który, zastąpiła natychmiast przykra bladość.

— Daruj pani zawołał Jan z goryczą — zrobiłem ci, jak widzę, wielką przykrość.

— Po co o tem mowić — odezwało się dziewczę przytłumionym głosem. Pan jeszcze nie masz stanowiska odpowiedniego... A to, co nam magazym przynosi, potrzebne dla utrzymania domu rodziców, w którem coraz więcej wydatków przybywa, w miarę, jak rodzeństwo podrasta. Pan dobrze wiesz o tem.

— O, jesteś pani bardzo, bardzo rozsądną — szepnął rozżalony chłopiec, ja prosiłem tylko, o maleńki promyk nadziei na przyszłość, o jedno słówko i nic więcej, jedno dobre słówko, które dałoby mi siłę do znoszenia trudów życia... i krzywd losu...

— Ja nie wiem o żadnych krzywdach pańskich...

— Nie wiesz? a oto sama krzywdzisz mię okrutnie... przekładając nademnie Adolfa, dlatego, że przystojniejszy...

Halina spłonęła skarłatem, usłyszawszy swą tajemnicę serca wygłoszoną.

— Kto panu dał prawo, mówić do mnie? w ten sposób — zawołała drżąc z gniewu.

— Nigdy nie spowiadałam się przed panem z uczuć moich — ani przed panem, ani przed nikim w świecie.

— Przepraszam, przepraszam — wybąkał Jan obrażony także do żywego; próbowali jeszcze utrzymać rozmowę o innym przedmiocie, ale obojgu nie szło. — Dąbrowski po chwili skłonił się chłodno i odszedł z urazą w duszy.

Tym sposobem Kazimierz Korycki odniósł zwycięztwo. Jan poddał się zupełnie wpływom nieszczesnym pessymisty.

Ludwika nie przychodziła do zdrowia, zużyta maszyna nie dała się naprawić łatwym sposobem. Świeże powietrze i swoboda myśli zostały przedewszystkiem zalecone przez lekarza, a tym czasem biedna chora dusiła się w co raz przykrzejszej atmosferze warszawskiej; swobodę myśli jeszcze trudniej przychodziło zdobyć tej opiekunce sierocej dziatwy, oddanej im całą duszą. Zarabiało się teraz więcej zbiorowo, ale i wydawało więcej. Zaręczenie Albertyny zmniejszyło dochody z magazynu, bo ta głównie zajętą była wyprawą swoją.

Antoś wprawdzie za staraniem p. Chwaliboga dostał stypendjum, ale Halinka i Józia potrzebowały więcej pieniędzy na ubranie, rosnąc szybko.

Adolf zarabiał najwięcej, oddawał dużo rodzinie, lecz sam dla siebie potrzebował więcej. — Nie brakło więc trosk codziennych, a dodajmy do tego, że każde z rodzeństwa miał swe własne dzieje i strapienia serca, które najstarsza siostra odczuwała, a pojmiemy, że daleka była od pożądanego pokoju umysłowego.

Wszystkie te niekorzystne warunki pogorszało nałogowe niedbanie o siebie i rwanie się do pracy nad siły.

Coraz gorzej wyglądała, caraz słabszą się czuła, oczy szkliły się gorączkowo, lica palił niezdrowy rumieniec.

Adolf marzył o wyprawieniu siostry do wód stosownych; samej nie można było puszczać, szukał przeto towarzyszki, lecz każda z nich, obaczywszy, w jakim stanie jest chora, wycofywała się zręcznie, niechcąc odpowiedzialności i trudu pielęgnowania suchotnicy, *brać* na siebie.

A na list pisany do Ciślina nie było żadnej odpowiedzi.

Tak więc horyzont doli sierocej zachmurzył się ze wszystkich stron, zwiastując gromy

straszne, w chwili właśnie, w której spodziewano się wydobyć z przykrej walki z nędzą, w której miano żyć swobodniej.

Tak to bywa na tym padole łez...

Pan Ciśliński z Izą przebywał w Wierzbołowie. Z początku, udręczony tem wszystkiem, co słyszał od gospodarza, wyrywał się z gościny, a zatrzymywany od dnia do dnia, zaczął oswajać się z nowymi poglądami, i bezwiednie ulegać wpływom wymowy, pełnej zapału i głębokiego przekonania.

Było to naturalnem, ale na zmianę stanowczą, liczyć nie można było; na gruncie stwardniałym, zjałowiałym, ziarna kiełkujące wybujać, ani obfitych plonów przynieść nie mogły.

Izabela zaś w tamtejszej atmosferze dojrzała duchowo, wyswobodziła się z reszty subjektywizmu, rozwinęła skrzydła myśli, i przygotowała się do czynu w przyszłości.

Nawet powierzchowność jej odmieniła się tutaj; kształtna twarzyczka wypiękniała spokojem wewnętrznym i samowiedzą życia. Ruchy wdzięczne i miękkie, przybrały powagę i pewność dojrzałości.

Nastrój duchowy wpływał korzystnie na zdrowie fizyczne, lica zakwitły rumieńcem, kształty ciała rozwinęły się.

Widok tych zmian korzystnych, skłaniał pana Ciślińskiego, do przedłużania pobytu w Wierzbołowie. Po czterech tygodniach gościny dopiero, nastąpił wyjazd i czułe pożegnanie.

Pani Ciślińska stęskniona witała ze łzami rozczulenia podróżnych, a widokiem Izy nacieszyć się nie mogła. Moje kochane dziecko przyślicznie wygląda, Bogu najwyższemu dzięki, że ci dał zdrowie! Poczciwy August mi pisał zawsze; „zdrowa, zdrowa“, ale nie przypuszczałam, aby tak zakwitła czerstwością, mój kwiatek kochany.

I pieszczoty ponawiały się bez końca.

— Pozwólże powitać ją siostrom i panu Karolowi — odezwał się nareszcie pan Ciśliński.

Rzeczywiście stali w około, wyżej wymienieni, nie mogąc zbliżyć się do pieszczonej przez matkę córki.

Serdeczna kobieta przeniosła swe pieszczoty na męża teraz.

Izabela podając rękę Karolowi uderzoną została jego znękaniem moralnem, po dłuższem nie widzeniu bijącem mocniej w oczy.

To trup chodzący — pomyślała sobie idąc do swego pokoiku, biedna Zenia nie zna krzywdy, jaką jej wyrządzono narzucając takiego męża, bo tak jest, przytwierdziła sobie, pani Arturowa narzuciła go jej zręcznymi zabiegami, a nieprzezorność rodziców dopomogła jej. Czy ojciec tego nie widzi? czyżby nie można zerwać tego związku?

Zadała sobie pytanie.

Myśl ta uczepiła się jej główki, w czasie podanej wieczerzy, śledziła ojca i spostrzegła, że często wpatrywał się także w przyszłego zięcia, a twarz jego zdradzała przykre uczucie, które z trudnością ukrywał.

— Ojciec to widzi — powiedziała sobie — widzi i cierpi.

Wieczorem, wszedłszy do swej sypialni, spostrzegła wielki wonny bukiet na biureczku swojem.

— Któż mi zrobił tę niespodziankę? — spytała wbiegającą i witającą ją czule służącą.

— Ogrodnik pozrywał najśliczniejsze kwiaty dla naszej kochanej panienki — mówiła przymilając się dziewczyna.

— Podziękuję mu jutro, ale to szkoda tak ładnych kwiatków. Stawiając bukiet obejrzany i obwąchany do koła, na biureczku, spostrzegła list od Ludwiki.

— Dla czegoż nie przysłano mi tego do Wierzbołowa? — zawołała z żalem.

— Jaśnie pani dziś tu była obejrzeć, czy wszystko jest w porządku, a spostrzegłszy list, żałowała, że zapomniała wysłać go wcześniej.

Izabela rozerwała kopertę, a czytając pobladła.

„Jestem chora — pisała Ludwika — bardzo chora, a nie mam środków leczenia się, powietrze warszawskie mi szkodzi...

Nie dokończyła, a pobiegła z listem do matki.

— Jakże mi przykro — wołała — że mama nie przysłała mi tego listu do Wierzbołowa.

— Zapomniałam, moje dziecko.

— O Boże, mój Boże! Może już być zapóźno.

— Cóż się tam stało takiego?

— Iza przeczytała wyżej wspomniany ustep. Mamo — wołała — my ją tu sprowadzimy, musimy ją sprowadzić, choćby ojciec się gniewał... choćby... choćby... Nie, nie, musimy ją sprowadzić. Ona pielęgnując mię w chorobie, dobiła się, była już cierpiąca, a podjęła tyle trudów, tyle nocy bezsennych spędziła przy mem łóżku. Czyż mogłabym przenieść jej zgon! Czyż mogę żyć tu spokojnie bez niesienia jej ratunku.

Napiszę list natychmiast, aby tu przyjechała, dla powietrza wiejskiego.

Dziewczyna w rozpaczy całowała ręce matki z gwałtownością, płakała w głos, szlochała prawie.

— Dziś napiszę, a jutro z rana list pójdzie na pocztę

— Ojciec już odszedł do swego pokoju — mówiła matka zakłopotana — trzeba z ojcem pomówić o tem.

— Ojciec nie może zabronić, to niepodobna, mamo.

A wróciwszy do sypialni, Izabela pisała długo, oblewając łzami ćwiartkę papieru, przerywając pisanie łamaniem rąk rozpaczliwem.

Młodość dała jej sen twardy po łzach obfitych.

Nazajutrz rano została wezwaną do pokoju matki.

Pani Ciślińska spędziła noc gorszą od córki, a zbudziwszy się bardzo rano, wcale już zasnąć nie mogła, wstawszy poszła do pokoju męża.

Pan Ciśliński w szlafroku pił herbatę i palił wonne cygaro, pierwszą ucztę lubił sam spożywać.

Z rana nie miewał apetytu, czysta herbata i cygaro przetrawiały resztki wieczerzy i przysposabiały żołądek do spożycia drugiego śniadania.

Żona opowiedziała wczorajszą przygodę z Izą i listem Ludwiki.

— Trzeba było list spalić do licha, mruknął rozgniewany małżonek.

Djabli przynieśli tych Dąbrowskich pod twój dach.

Salonowiec pozwalał sobie na podobne wyrażenia w obec żony.

— Mój kochany, to sieroty!

— Sierotom nie skąpi się grosza, a trzyma się ich z daleka. Ale ty, nigdy taktu nie miałaś, to stara historja!

Pani Ciślińka zalała się łzami, czyż tego spodziewać się mogła, czyniąc uczynek miłosierny, pełniąc wolę Bożą.

— Idź do twego pokoju — wyrzekł łagodniej małżonek, przyjdę tam wkrótce i rozmówię się z Izą.

Wezwana o niezwykłej porze córka odgadła, że czeka ją nowa przykrość, wzburzone fizyonomje rodziców utwierdziły ją w tem przekonaniu także.

Ojciec stanął z twarzą surową sędziego śledczego.

— Wysłałaś Izo na pocztę list pisany do Dąbrowskich? — pytał.

— Tak jest.

— Zaprosiłaś do domu naszego suchotnicę?

— Ona potrzebuje zmiany powietrza, koniecznie zmiany powietrza... miejska atmosfera ją zabija... tłomaczyła się wylękniona dziewczyna.

— Któż ci dał upoważnienie do działania w ten sposób?

— Nikt, mówiłam przy mamie, że tak zrobię, a mama nie sprzeciwiała się.

— Otóż matka w tej sprawie odwołała się do mnie — wyrzekł ojciec — utrzymując ten sam ton głosu, a ja opieram się stanowczo. Nie pozwalam sprowadzać choroby niebezpiecznej do domu, nie chcę, abyście się zaraziły suchotami. Samowola twoja przechodzi wszelkie granice.

Teraz Iza nie dała się ustraszyć, przytłumiona obawą energja jej charakteru wzięła górę.

— Nie jest to samowola — odrzekła podnosząc piękną główkę do góry, tylko działałanie wedle obowiązku sumienia i serca. Nie mogę zostać obojętną i bezczynną w obec nieszczęścia tych, których kocham, szanuję, i względem których, mam nawet obowiązek wdzięczności.

— Cóż więc chcesz uczynić dla nich? — spytał ojciec z okrutnem szyderstwem w głosie.

Izabela rozpłakała się.

— Rozpacz może podać mi myśl szaloną — zawołała wybiegając z pokoju.

— Cóż ci przyjdzie z tego, że dręczysz własne dziecko! — odezwała się żona — słuchająca poprzedniej sceny w pokornem milczeniu, gdy widok bólu dziecka obudził w niej także energją czynu.

— Więc ona ma rządzić nami? Jej wola maż być prawem naszem? — pytał Ciśliński gniewnie.

— Wiem tylko, że ojcowie nie powinni być tyranami — zaszlochała matka, zanosząc się od płaczu. (C. d. n.)

C. k. uprz. galicyjski

ZAKŁAD Kredytowy Włościański

oprócz 6% Listów zastawnych i Obligacyj Komunalnych

wydaje także

5% Listy zastawne

i 5% Obligacje Komunalne

losowane w przeciągu lat 20, dla których oprócz stałego oprocentowania po 5 prct. **rocznie**, przypada nadto **dywidenda** z każdorocznego czystego zysku Zakładu.

Powyższe Listy zastawne w myśl post. minister. z dnia 5. marca 1876 L. 16435 mogą być według prawa z dnia 2. lipca 1868 Nr. 93 Dz. P. P. użyte do lokowania kapitałów funduszowych, pupilarnych, kaucyj małżeńskich, wojskowych, na kaucje służbowe i wadja.

Pożyczki hipoteczne

udziela Zakład kredytowy włościański swoim członkom **na** 8procent, gminom zaś jako takim **na** 7 procent,

i od rat w czasie właściwym niespłaconych policza za zwłokę o 1 procent wyżej od ustanowionej stopy procentowej, t. j. po 9 procent, względnie po 8 procent.

☞ Pożyczki hipoteczne udziela Zakład bez różnicy, czyli obciążyć się mającą ruchomość jest rustykalna, wolną lub jakąkolwiek inną.

Pożyczki wypłaca Zakład ***w pełnej*** imiennej ***wysokości gotówką,*** zaś statutem ustanowiony udział, (który przy spłacie ostatniej raty pożyczkowej zwrócony będzie dłużnikowi), oraz asekurację i różnicę kursu spłaca dłużnik do kasy Zakładu w ***ratach bezprocentowych*** przez czas trwania okresu pożyczkowego.

(1060-3-3)

Dyrekcja.

Ces. król. uprz. **fabryka gotowej bielizny i płócien**

(974-10-9)

M. Beyera i Spółki

z Wiednia, filia **w Krakowie w Sukiennicach nr. 13 — 14, naprzeciw kościoła Panny Marji.**

Znajdują się na składzie i sprzedaje po miernych cenach fabrycznych bardzo wielki zapas męskich i damskich gotowych koszul — płótno, bieliznę stołową, chustki do nosa, ręczniki i kompletne wyprawy ślubne od 150 złr. do 1000 złr. — Ceny stałe i jak najmniejsze.

Zakład fotograficzny

Stanisława Bizańskiego

w Krakowie,

przy ulicy Siennej obok małego Rynku naprzeciw gimnazjum św. Jacka p. l. 430. Ceny fotografij: pierwsze pół tuzina, w formacie kart wizytowych 3 zł. każde następne pół tuzina 2 złr. 50 ct. Tuzin w formacie gabinetowym 11 zł. (988-12-8)

Skład Karlsbadzkich koronek

BRACI REITZNERÓW

Lwów, plac św. Ducha 8.

Poleca wszelkiego rodzaju koronki od najdroższych do najtańszych, i od najgustowniejszych do skromnych; jedyny ten magazyn na Lwów cały przytem ceny bardzo dostępne.

Poleca się ten magazyn wszystkim.

(1001-3-3)

ZMIANA LOKALU

Niniejszem zawiadamiam Szanowną Publiczność, że mój dawniej przy ulicy Serbskiej l. 23 pod firmą

W. JOLLES

znajdujący się

wielki magazyn sukna

jakoteż

gotowych sukień

mezkich i dziecinnych

do ulicy Teatralnej pod l. 7

naprzeciw kościoła katedralnego przeniosłem. (1063-1-2)

Adwokat krajowy

Dr. Henryk Bużawa Schoen

otworzył kancelarję adwokacką w Krakowie w domu Wnego Rudolfa Grossmana przy ulicy Szewskiej na I. piętrze (róg Rynku). (1031-6-1)

I. N. Federowicz, w Krakowie. Poleca Wina przednie węgierskie i francuzkie po umiarkowanych cenach zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie (0-2-1)

Abraham Merker, przy ul. Kaźmierza l. 180 w Krakowie, załatwia wszelkiego rodzaju interesa, w przedawaniu, kupowaniu, mienianiu, realności, kamienic, dóbr ziemskich, pośredniczy w wyrabianiu pożyczek Bankowych i Przemysłowych na mały procent, słowem uskutecznia wszelkiego rodzaju pośrednictwa za mierne wynagrodzenie. (1073-2-1)

Ignacy Matusiński, Kraków, rynek naprzeciw odwachu, poleca swój magazyn najobficiej zaopatrzony w towary galanteryjne i drobiazgowe oraz w stroje damskie, bieliznę męską krawaty i t. p. (1076-12-1)

Wilhelm Klamut, fabrykant powozów, Lwów, Chorążczyzna 16. dostarcza znane tarantasy amerykańskie w różnych gatunkach. — Cenniki franco. (1039-9-5)

Odpowiedzialny wydawca i redaktor: Jan Chechliński.

Z drukarni K. Pillera.